

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Ilustrowanych” na rok 1916**, zawiera **ilustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski**. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza” dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący obraz **zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów**.

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracji „Nowości Ilustrowanych” po cenie:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

Wojna obecna wpłynęła ujemnie i na tradycje narodowe. Zamiast siedzieć, jak to czyniłem w tym czasie po inne lata w cieniu drzew bieleńskiego lasu i rozkoszować się przywiezionym ze sobą piżmem, świergotem ptaszek i gruchaniem par zakochanych, dziś, w sam dzień Zielonych Świąt rozpieram się wygodnie przy biurku redakcyjnym, choć mam przed sobą flaszczynę, ale niestety, tylko z atramentem.

Zyje człowiek tylko wspomnieniami przeszłości i cieszy się nadzieją, że przecież może to już ostatni rok tej mizeryi, jaka nas nęka.

A tu, jak na złość, święty Medard był stosunkowo dość względny i przeszedł prawie sucho, chociaż bowiem padał deszczyk rano i kropił lekko wieczór, ale to tylko na prośbę Zakładu czyszczenia miasta, który nie rozporządza należyłą liczbą zaprzęgów, by móżdż codziennie porządnie skrapiać ulice. Zostawia to niebiosom i często bardzo bywa wysłuchany. Można więc żywić nadzieję, że będziemy mieć stałą pogodę przez dni czterdzieści, czasem tylko przerywaną deszczem, co pozwoli pomyślnie ukończyć sianokosy. Gdyby więc człowiek był koniem lub krową, mógłby się cieszyć, że jedzenia mu nie braknie, ale cóż robić, skoro żywienie się sianem jeszcze się między nami nie przyjęło, choć czytałem, że gdzieś tam w Niemczech jakiś pomysłowy przedsiębiorca wypiekał chleb z trocin i słomy, a przed sądem się tłumaczył, że to ludziom bardzo smakuje i żołądka nie obciąża tak, jak ów kłajster, który kupuje się w piekarniach za okazaniem karty chlebowej.

Jeśli więc naprawdę pogoda dopisze (święta Barbara kiwa nas pod tym względem od lat już kilku), świętemu Medardowi będziemy mieli do zawdzięczenia, że uda się zbiór pokrzyw, za których łodygi suszone płacą po sześć koron za sto kilogramów. W wolnych chwilach, o ile zdrowie, czas i pogoda pozwoli, mam zamiar wraz z całą rodziną wybierać się za miasto na pokrzywy, by choć w ten sposób łątać dziury budżetu domowego, który zgryzła wojna, niczem mole mój stary angielski, pamiętający jeszcze czasy wolnego miasta Krakowa. Kazano także zbierać liście ożyny i poziomek, w Krakowie jednak o nie trudno, daleko zaś łatwiej spotkać się z pokrzywą. Dziwię się, że zarząd ogrodów miejskich nie posiał ich tego roku więcej na plantacjach i w ogrodach miejskich. Także Błonia nadają się do tego najzupełniej.

Pokrzywa wznosi dziś dumnie głowę do góry, jedynie wojnie zawdzięczając, że poznano się na jej zaletach i zdaje się wobec tego chętnie da się poli-

czyć w szereg tych, co pragną, by wojna tak prędko się nie skończyła, bo zrobili na niej dobry interes i jeszcze robią, a pragnęliby robić jak najdłużej.

Czas więc obecny, znajdujący się pod znakiem tłuszczy z pomysł, może także zupełnie słusznie być nazwanym wiekiem pokrzywy, a o ile pamięć moja sięga, tego rodzaju okresu nie było dotąd ani w historii, ani w literaturze.

Skoro zmuszono człowieka do tego, by zerwał z dawnymi tradycjami i Zielone Świąta spędził w mieście, a nie na Bieleńskich, trzeba było szukać jakiegoś takiego rozveselenia. Wycieczka do oazy „pod Palmą” jest w tym wypadku bardzo wskazana, gdyż tu najłatwiej poznać się wielu obcych, którzy przybyli Kraków zwiedzić, ludzie pobożniejszego ducha, starzy Krakowianie, choć nawet liczący się do demokratów, ale przecież konserwatywnie usposobieni, wolą odcinek „pod Obrazem”, więcej spokojny i przypominający dawne, lepsze czasy. I innych, podobnych lokali nie brakuje, znajdziesz ich po kilka przy każdej ulicy, ale tamte dwa mają się do nich, jak uniwersytet do szkoły ludowej.

Opowiadano mi, że pewien obywatel z okolicy, przybywszy do Krakowa wraz z całą rodziną w celu zwiedzenia osobliwości miasta, ze względu na brak czasu w ten sposób się urządził, iż sam cały dzień przesiadywał w wymienionych wyżej lokalach i jeszcze innych, żonę wysłał na zwiedzanie kościołów, córki zaś do muzeów, bibliotek, na wystawę i t. d. Wieczorem schodzili się wszyscy razem w hotelu i dzielili odniesionymi wrażeniami, przyczem stale okazywało się, że najbardziej zadowolonym ze siebie był papa dobrodziej, a cała rodzina mu do tego stopnia zazdrościła, iż na trzeci dzień wszyscy razem znaleźli się już rano „pod Obrazem”.

Kraków ma swoje osobliwości, godne zwiedzenia, a mające to do siebie, iż, im częściej się je ogląda, tem więcej znajduje się w nich powabu, ale trzeba wiedzieć, jak się urządzić, by właśnie trafić tam, dokąd miało się pójść ochotę, a nie gdzie indziej. Pod tym względem brakuje nam porządnego przewodnika dla turystów, wszystkie bowiem istniejące dotąd, nie wyczerpują należycie materiału, widocznie nie pisane przez fachowców. O ile mi czas na to pozwoli, po wojnie zajmę się opracowaniem podobnego dzieła i jestem pewny, że zyskam niemiernie wielką, choćby mnie nawet nasza Akademia w poczet swych członków zaliczyć nie chciała.

Wszak i ś. p. Lucyna Cwierzakiewiczowa w podobny sposób dorobiła się niespożytej sławy. Przy najmniej ja stawiam ją na pierwszym miejscu między piszącymi kobietami, utwory jej bowiem są i smaczne, a co najważniejsze i lekko strawne! Pod tym względem jeszcze nikt na nią nie narzekał.

Dziś kobiety nowoczesne w inny sposób dochodzą do sławy. — Ot, weźmy taką Sarę Bernhardt. Aczkolwiek wieniec bobkowych liści zdobi już dawno jej głowę, bojąc się by nie zwiędła, wybrała się po długich a dolegliwych staraniach na front wojny i tam wraz z swą trupą dała kilka przedstawień. Aby jednak doznać nerwowego podrażnienia (w tym wieku, co ona, sztuczne podrażnienie jest nawet wskazane!) prosiła, by jej pozwolono udać się do najdalej wysuniętych okopów, skądby mogła na własne oczy ujrzeć wrogów i na własnej skórze poczuć doniosłość i celność ich strzałów.

I na to się zgodzono. Niemcy jednak akurat pozostawali w tym czasie w najzupełniejszej bierności. Być może, że wiedzieli o odwiedzinach i nie chcieli przeszkadzać.

Pani Sara była jednak niezadowolona z tego, rzekła też do swego otoczenia:

— Ach, jaka szkoda, że tu Niemców niemal

— Dlaczego? — zapytano.

— Zaczęłabym zaraz strzelać!

— Ze złości, czy ze strachu?

— Naturalnie... ze złości!..

— A ma pani dobrodziejka przy sobie jakie śmiercionośne narzędzie?

— Ciekawa jestem, poco? Artystka tej miary, co ja, potrafi strzelać i bez pistoletu!

Gdy się o tem bohaterstwie dowiedział pan Gabriel d'Annunzio, wysłał do pani Bernhardt natychmiast telegram gratulacyjny, który zakończył słowami: „Proszę być pewną, że na coś podobnego nawet ja bym się nie był zdobył. Imię pani przejdzie do potomności!”

Jeśli więc Niemcy wiedzieli, że pani Sara Bernhardt znajduje się obok i nie strzelała, to okazali w ten sposób wielki zasób galanterii wobec dam, a że są do tego zdolni, wnoszę to z owego rozporządzenia co do rozmiarów sukien damskich, o czym w poprzedniej kronice obszernie, jak na to takie szerokie suknie zasługują, wspominałem. W rozporządzeniu tem powiedziano wyraźnie: „dzieci i podlotki do lat dwudziestu jeden”. Proszę mi pokazać

Francuza, a wiadomo, że dotąd w galanterii prym oni wiedli, którzyby panienkę, przeszło dwudziestoletnią, choćby ona nosiła najkrótszą sukienkę i udawała jak naiwniejszą, nazwał podlotkiem. A przecież zrobili to Niemcy, których ci sami Francuzi nazywają barbarzyńcami.

Nie myślę się nad tem zbyt długo rozwodzić, bojąc się, by mnie znowu nie pomówiono o germanofilstwo, choć ja zaznaczam to tylko z obowiązku kronikarskiego, starając się każdemu oddać to, co mu się słusznie należy. Zwróciła zresztą na to moją uwagę pewna panienka, która ogromnie była zadowolona użyciem tego słowa „podlotek”. W liście, wystosowanym do mnie, zapytuje, do którego roku życia obowiązuje ten tytuł w Niemczech, ma bowiem zamiar tam się przenieść po wojnie i nie wie, czy ma prawo do tej tytułatury. W dopisku zawiadomiła mnie, że ukończyła już lat trzydzieści sześć, zapomniała jednak dodać, jak dawno.

Odpisałem, że tytuł „podlotek” powyżej lat dwudziestu może być używany tylko w czasie wojennym, po zawarciu pokoju ulegnie natomiast zmianie.

Aby nie ściągać na swą łysą głowę gromów, nie wspominał też obszerniej o bitwie morskiej niedaleko Skagerraku, inaczej bowiem zapatruję się może na nią i na jej skutki, niż niejeden z naszych tak zwanych uprzywilejowanych polityków. Są to panowie, którym jedynie wolno mieć swoje zdanie, uzasadnione, czy nie, to mniejsza, reszta musi, a przynajmniej powinna iść za nimi. Ja tam jestem innego zdania, na świat i życie zapatruję się przez własne okulary i nie lubię *urare in verba magistri*, zwłaszcza jeśli ten „magister” mógłby jeszcze wstąpić do mnie do terminu, a wieleby skorzystał!

Otóż, przyznam się szczerze, że Anglików lubię i nie lubię i to od lat najmłodszych. Lubilem ich, ponieważ wynaleźli cukierki angielskie, a tych nabywałem sporo swojego czasu, znienawidziłem ich zaś, ponieważ od nich wyszła tak zwana „angielska choroba”, o której dość się nasłuchałem, choć na nią, dzięki Bogu, nie cierpiałem.

I dziś jest to samo. Imponują mi swym zmysłem kupieckim i obrotnością, z drugiej jednak strony żalają mnie swą bezwzględnością. Dotąd uważali się sami i uważali ich cały świat za panów morza, na wodzie niezwykłych, dziś ta aureola zgasła, pokazało się, że tak samo, jak każdy inny, mogą dostać po skórce i to na mokro. Ubolewam też z tego powodu nad nimi, żal mi ich serdecznie, z drugiej znowu strony irytuje mnie ta pewność siebie i wykręcanie kota ogonem do góry. Zastrzegają się bowiem, że „nie była to klęska, ale dotkliwy cios”. Być może, że był to cios, ale dzięki niemu poniosło klęskę ich światowe znaczenie na morzu. Jeśli zaś do tego doda się tragiczny koniec Kitchenera, przyzna mi chyba każdy nieuprzedzony, że przypominają się lekko losy owej Filipowej (ale nie z Konopi!) Armady, która uchodziła w swym czasie też za niezwykłą, a przecież ani śladu z niej nie zostało.

Anglia zajęła dziś miejsce owej dawnej Hiszpanii, czy je utrzyma i nadal, zobaczymy.

Pocóż zresztą zajmować się sprawami Anglii, lub innego państwa, skoro możemy szeroko i długo pisać o tem, co nas boli co nam bezpośrednio dolega, ot, choćby nawet o reaktywowaniu krakowskiej Rady miejskiej, o co starają się różne koła radcowskie, nie mogące już wytrzymać bez gadania w sali pałacu Wielopolskich. Czy to jednak miastu samemu zda się na co, w to wątpię.

A i na tem polu nie zgadza się ze mną większość moich kolegów po piórze, ale ja już jestem taki, że sobie nic z tego nie robię, chwalebny Pana Boga, jak umiem i przygotowuję się do ogłoszonego przez władze „spisu jaj”, który ma być ostatnią sezonową nowością.

Na zakończenie muszę się podzielić z Czytelnikami smutną wiadomością, że krakowska Akademia Umiejętności nie poznała się na mnie, wbrew bowiem oczekiwaniom nie otrzymałem żadnej nagrody, ani za moje kroniki, ani też z fundacji ś. p. Jerzmanowskiego. Ale ja już do nagród nie mam szczęścia, tak samo jak do wygranej na loteryi, jestem pewny, że gdybym był koniem wyścigowym, nie stanąłbym nigdy pierwszy u mety.

Kalendarz

Krem do zębów

90 halerzy.